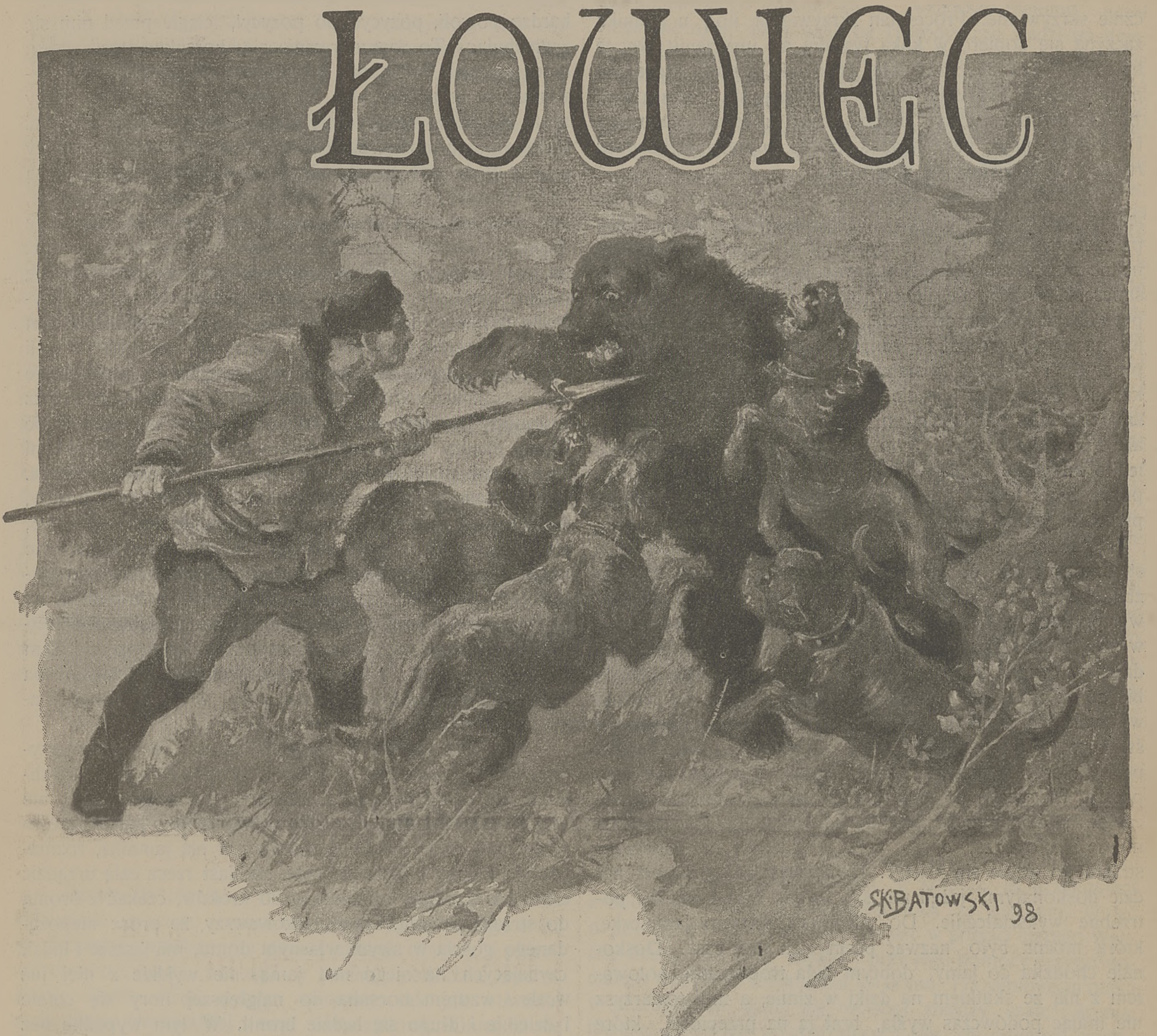
Nr. 17. Lwów, 1. września 1904. Rok XXVII.

ŁOWIEC



Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

JAMNIK.

Najwcześniejsza wzmianka, jaką w historyi kinologii o jamniku posiadamy, przypada pod koniec 16-go wieku. Mamy ją mianowicie w francuskiem dziele kynegetycznem, Du Fouilloux'a wraz z ryciną, a trochę później w niemieckiem tłómaczeniu tej książki, również z ryciną. Ta ostatnia jednak nie równa pierwszej; w tłómaczeniu przedstawia ona tęgiego muskularnego niemieckiego jamnika (Dachshund), gdy rycina w oryginale daje podobiznę małego jamnika francuskiego (basset). Jak więc widzimy, w owym czasie miały już jamniki swoje rasy i odmiany, z czego łatwo przyjść do wniosku, że egzystencya ich jest o wiele starszą od epoki, o której mówimy. Niestety, nic dawniejszego o tych psach nie wiemy, a w starych dziełach kynologicznych niema o nich mowy.

Nie ulega wątpliwości, że jamnik pochodzi od ogara i że dawniej był tylko karłowatą odmianą tego ostatniego. U wszystkich zaś psów zdarzające się objawy rachityczne, okazujące się wstrzymaniem rozwoju kości w nogach, są jedynym powodem tak niezwykłego stosunku nóg do tułowiu, jaki ma miejsce u jamnika. Gdy n. p. terrierkarzeł pozostaje w całej swej budowie równomiernie małym, z jamnikiem ma się rzecz inaczej. Proces rachityczny działa tylko na nogi, zostawiając tułów w spokoju, a działa na każdą parę nóg inaczej. Gdy bowiem, w przedniej parze są tylko kości od łokcia do przegubu anormalnie zbudowane, w tylnej są takiemi kości dolnych części nóg, gdy górne od uda do ramienia są tylko niezna-

cznie skrzywione. Proces ten skrzywienia nóg u jamnika zaczyna się dopiero w kilka tygodni po urodzeniu, psy te bowiem rodzą się z zupełnie prostemi nogami, które dopiero później przestają róść i zaczynają się defigurować. Jamnik dwumiesięczny jeszcze często zupełnie ma proste i normalne nogi, które jednak daleko pomalej od korpusu rosną i wykrzywiają się stopniowo.

Jamnik jest więc istną karykaturą psa, w anormalnej jednak jego budowie nie ma nic nieestetycznego. Widać w niej przedewszystkiem wielki indywidualizm rasy. Nieproporcyonalnie długi, o muskularnej budowie, korpus osadzony jest na śmiesznie krótkich ale silnych nogach. Przednie od łokcia do przegubu zwrócone do środka, dolna ich część zato, wygiętą jest na zewnątrz, widziane jednak z boku robią wrażenie nóg prostych. Tylne nogi są słabsze i w dolnej swej części bardzo krótkie. Głowa jest miernie duża z miernie długiemi, zwieszającemi się, przylegającemi uszami. Pysk jest wydłużony, ale tępo zakończony. Ogon średniej grubości i długości, lekko ku górze wygięty. Pierś nadzwyczajnie szeroka i wypukła. Sierć krótka lub długa, lśniąca. Maść jest rozmaita, przeważa jednak czarna, żółto podpalana lub żółta.

Patrząc na jamnika, odnosimy wrażenie, że to pies stworzony tylko do grzebania w ziemi i do tego idealnie zbudowany, ale że to pies-kaleka, nie mogący się prawie poruszać a tembardziej biegać. O ile spostrzeżenie to w swej pierwszej części jest słusznem, o tyle zupełnie błędnem w drugiej i nie odpowiada faktom. Jamniki umieją biegać świetnie, nie z szybkością psów innych, ale równie wytrwale. Są w stanie godzinami gonić zwierza. Opatrzone świetnym wiatrem, niesłychaną zaciętością i zajadłością, pełnią nieraz doskonale służbę ogara, kundysa lub tropowca. W łowach na dziki jamniki są doskonałymi pomocnikami; dzik przed nimi nie ucieka, tylko jak natrętnej musze się opędza, dając czas myśliwemu na odległość strzału do siebie się zbliżyć. Tropowcem każdy jamnik będzie doskonałym, jeżeli mu się da w tym kierunku potrzebne wykształcenie. Do niedawna miałem jamniczkę, którą można było nazwać psem „en tout cas“. Doskonale chodziła do jamy, dobrym była tropowcem, polowałem z nią ze skutkiem na dziki w zimie, a mój towarzysz nie mając podówczas wyżła, brał ją na przepiórki, które doskonale wystawiała, świetnie też umiała chróściele wynajdywać i z gęstych traw do lotu je zmuszała.

Ale celem życia jamników jest walka podziemna z borsukiem i lisem. Talent do tego zawodu rozwija się u nich dopiero w drugim lub trzecim roku życia; zaprawianie ich jest bardzo łatwe wobec wrodzonych zdolności. Ważną jest rzeczą, młodego jamnika nigdy do lasu nie prowadzić, ale wozić albo nosić, co wobec małej wagi psa nie jest rzeczą trudną. Gdy się dojdzie do jamy, należy psa łagodnie zachęcać do wejścia do niej, nigdy za nieposłuszeństwo w tym kierunku nie bić i nie karcić. Mój sposób tresowania jamnika był bardzo prosty i łatwy i zawsze dawał dobre rezultaty. Brałem ze sobą królika i tak by pies widział, puszczałem go do nory, starając się go jeszcze płoszyć laską, by się jak najgłębiej ukrył. Puszczałem wtedy jamnika, który bez namysłu do jamy się rzucał i w niej królika zagryzał. Po takiej lekcyi chodził już pies całe życie chętnie do nory.

Jamników używa się u nas do wypędzania z jam borsuków i lisów. Francuzi używają też swoich „bassets“ do polowań na króliki. Jeżeli chodzi o borsuka, to sprawa jest dość trudną i bez pomocy łopat obyć się nie można. Borsuk stawia zacięty opór psu w norze i ustępuje mu bardzo powoli, pozycyę po pozycyi, ciągle przed nim się zagrzebując. To zagrzebywanie się borsuka przed psem dało początek śmiesznej bajce o naumyślnem zagrzebywaniu psa przez borsuka. Nie przeczę, że pies w tej pracy może wpaść w sytuacyę niebezpieczną, gdyż może pozostać pozbawionym możności odwrotu; korytarz świeżo zasypany ziemią może stać się dla niego za ciasnym. Ale na to są sposoby. Gdy się usłyszy, że jamnik w norze naszczekuje, należy natychmiast, przyłożywszy ucho do ziemi, dokładnie zbadać, w którem miejscu ta walka więcej na słowa niż na broń białą się odbywa. Borsuk bowiem odgryzając się ciągle, w tył się cofa, aż dojdzie do ostatecznej swej kryjówki (Kessel) z której już dalszego korytarza niema. W tem miejscu robi się natychmiast prostopadły przekop, a jeśli (co bardzo często się zdarza) na właściwe nie natrafiło się miejsce, trzeba robić drugi, który jeżeli się umiejętnie rzecz prowadzi, powinien już odkryć borsuka. Wtedy wkłada się łopatę między obu przeciwników a borsuka specyalnemi szczypcami na powierzchnię ziemi się wyciąga i zabija. Borsuk nadzwyczaj rzadko wyskakuje przed psem z nory, jeżeli jednak uda się psa z niej wyciągnąć przez przekop, bliski głównej borsuczej kwatery i wtedy przez kilkanaście minut myśliwi się cicho zachowują, nie omieszka bez wątpienia borsuk wyjść z swego schronienia w korytarze, by sobie w razie nowej walki więcej znowu przestrzeni do rejterady zapewnić i będzie przechodził otwartem miejscem po pod przekop, a nawet zobaczywszy go, całkiem na wierzch wyskoczy i zechce dać nura w świat a wtedy łatwo zastrzelonym być może.

Z lisem sprawa o wiele łatwiejsza. Ten nie wytrzymuje długo ataku psa w jamie i wyskakuje z niej natychmiast, jeżeli ma którędy, a nawet matka mająca małe, nie długo natrętowi się broni. Tu popełnia się jednak często gruby błąd. Przy jamie, puszczając w nią jamnika, rozmawia się i dużo hałasu się robi, zamiast rzecz całą urządzić cicho i odszedłszy najmniej o 20 kroków, czekać z bronią do strzału gotową. Lis zmiarkowawszy, że prócz niepożądanego gościa w swym własnym domu, ma jeszcze i ludzi, czyhających na niego nad jamą, nie wyjdzie z niej już wcale i wzorem borsuka do najgłębszej nory się cofnie i dzielnie i długo się będzie bronił. W tym wypadku bez pomocy łopat się nie obędzie. Na lisy w jamach poluje się najlepiej podczas ich cieczki, od połowy stycznia do połowy lutego, w czas słotny i chmurny. Wtedy łatwo w jednej jamie pięć a nawet i więcej lisów zastać.

Jamnik w obcowaniu z innymi psami jest nietowarzyskim i rozpoczyna ciągle kłótnie a odważnym jest do zuchwalstwa. Nie uważa nigdy na wzrost i siłę przeciwnika, ale poczuwszy do niego animozyę, bez namysłu rozpoczyna walkę, choćby to był największy kundys i choć z niej wychodzi zwyciężonym, to i tamten zwykle ciężko opłaca to Pyrrhusowe zwycięstwo.

Chociaż tak odważnym i zuchwałym jest jamnik, w obcowaniu z ludźmi jest łagodnym i cichym. Nie znosi złego obchodzenia, jest bardzo ambitnym, pamięta dobrze niezasłużone skarcenia, dlatego psów tych nigdy bić nie należy. Jamnik, z którym źle się obchodzą, staje się ponurym, tchórzliwym i do wszelkiej pracy niechętnym, przeciwnie pies ten na chlebie u dobrego pana, staje się wiernym jego przyjacielem i towarzyszem. Z natury czujny i bardzo czysty, wielki przyjaciel dzieci, jest psem pokojowym i domowym w całem znaczeniu tego słowa.

Jamniki znamy francuskie i niemieckie. Dwie te jednak rasy zasadniczo się niczem nie różnią. Francuskie są deli-

katniejsze, o dłuższych uszach, niemieckie są silniejsze, większe i więcej muskularne. Maść francuskich jest rozmaitą, niemieckich tylko czarną z podżarami, lub żółtą, wreszcie czerwonawo-brunatną z ciemnemi kropkami (t. zw. Tigerdachs).

Francuskie jamniki mają kilka odmian. Są więc t. zw. bassets à jambes torses, małe, maści srokatej, na króliki używane, są bassets ardennais, silniejsze, maści czarno-żółtej lub żółtej, są dalej bardzo ładne, — bassets bleux de Gascogne, maści białej, gęsto czarnoszafirowemi kropkami zasianej, z wielkimi płatami tegoż koloru, rasa, niestety, będąca u schyłku swego istnienia, są w końcu bassets griffons, szorstkowłose, maści żółtej lub bronzowej, stara rasa bretońska.

Niemieckie jamniki są wszystkie jednakowe pod względem budowy, a dadzą się podzielić na odmiany tylko ze względu na długość sierci. Są więc krótko, szorstko i długowłose (kurz, rauh, oder stichel, und langhaarig). Wszystkie te trzy odmiany są sobie budową i zaletami prawie równe i opisywać każdą z nich osobno, byłoby zbytecznem. Opis jamnika, umieszczony na początku tego artykułu, da się zupełnie dobrze zastosować do wszystkich jego odmian. Jamnik francuski waży 8—10 kg., waga niemieckiego nie przekracza 12 kg. Kinologowie francuscy nie traktują basset'ów jako osobną rasę, lecz zaliczają je do ogarów myśliwskich, t. j. do t. zw. we Francyi „Chiens de petit Equipage“, o czem pomówimy obszerniej w przyszłym artykule traktującym o ogarach.

Albert Mniszek.

CZAPLA.

Czapla (Fischreiher, Ardea cinerea, vulgaris, cristata). Upierzenie na czole i wierzchu głowy białe, na szyi siwe, na grzbiecie popielate; na głowie czubek obwisły z piórek czarno-niebieskich, na szyi z przodu podłużne, czarne plamy. Dziób długi, prosty, spiczasty, tak jak obwódki oczu barwy jasno-żółtej; nogi żółto-zielone. Gnieździ się na wysokich drzewach, nad jeziorami, rzekami lub błotami. Wylęga troje młodych. Żywi się rybami, za któremi aż po brzuch w wodę idzie, albo godzinami stojąc w wodzie, wypatruje. Dziwna rzecz, że do stojącej nieruchomo w wodzie czapli, ryby same się zbiegają. Na zimę nas opuszcza. Mięso czapli nie dobre, trąci rybami i błotem. We Francyi tylko jedzą młode. Niedowierzająca i ostrożna; w rybołowstwie nader szkodliwa.

Miałem lat dziewięć. Ojciec mieszkał u podnóża Karpat, tuż przy trakcie, zwanym urzędownie: „Erste Hauptkarpathen-Strasse“, w kotlinie, zamkniętej z trzech stron lasami: od zachodu „Działem“, od wschodu „Żdżarem“ a od północy „Horodyszczem“. Wszelki ruch podróżnych na kilka mil po jednej i drugiej stronie ograniczał się na ten trakt. Nie był jednak wielki: żyd handlujący skórami, bojko schodzący z gór na zarobek a czasem żandarm, idący „w góry“ na patrol, ot i wszyscy, którzy tej Hauptkarpathen-Strasse używali.

Siedziałem właśnie pod czereśnią w ogrodzie z gramatyką języka ruskiego na kolanach, gdy za bramą ogromnych rozmiarów błysnął w słońcu bagnet żandarma; zerwałem się czemprędzej i pobiegłem przez ogród i dziedziniec naprzeciw niezwykłego gościa, który „wziąwszy Stellung“ kazał oznajmić ojcu, że w lesie na Horodyszczu siedzi na drzewie jakiś ogromny, siwy ptak. Ojca nie było w domu, nie mogłem mu więc zaraportować niezwykłego odkrycia syna Marsa. Nie namyślając się długo, wpadam do przedpokoju, gdzie na ścianie wisiały strzelby rozmaitego gatunku i kalibru, włażę na krzesło, chwytam jedną ze strzelb, o której wiedziałem, że jest nabitą śrótem i wybiegam za bramę, dążąc we wskazanym przez żandarma kierunku. Zaledwie ubiegłem kilkanaście kroków, a już ów bardzo duży ptak szybował zwolna ku Działowi. Oddalenie między mną a ptakiem wynosiło około 200 kroków; odciągam kurki i czekam w pozycyi do strzału gotowej, dobywając wszystkich sił, ażeby utrzymać ciężką strzelbę, ciężarem ku ziem się chylącą. Ptak, jak gdyby nie zważał na mnie zbliżał się coraz bliżej... wydał mi się daleko większym, aniżeli był w istocie, szyję miał niezmiernie długą, jak również i nogi i a w promieniach słońca lśnił się jak srebrny. Ptaka takiego nie widziałem jeszcze nigdy. Już, już równa się ze mną.... na wysokości wyrosłego drzewa... Nie widzę w tej chwili nic oprócz jakiegoś straszliwego olbrzyma ptasiego rodu, podnoszę z wysiłkiem strzelbę do ramienia i prawie nie celując, palę... ptak obniża jedno skrzydło i pada tuż u moich nóg. Odskakuję w tył, gdyż nastawia do mnie swój dziób, lecz w tej chwili w zapale walki rzucam strzelbę na ziemię, chwytam zbarczonego ptaka za zdrowe skrzydło i biegnąc — ciągnę go ku domowi. Dopiero teraz zaczynam się zastanawiać nad tem, co zrobiłem. Z jednej strony strach przed ojcem, który uczynku mego z pewnością nie puści płazem, a z drugiej duma z celnego strzału i przeświadczenie o bohaterstwie czynu napełniały naprzemian serce. Ptak zdumiony niezwykłem położeniem, w jakiem się po raz pierwszy w życiu znalazł, dotrzymywał mi z początku kroku; lecz po kilkunastu krokach, sprzykrzywszy sobie przymusowy spacer, zaczął się gwałtownie szarpać i podskakiwać a gdy mię nareszcie dziobnął w kolano, aż krzyknąłem z bolu i zmuszony byłem, aczkolwiek ze wstydem, wołać o pomoc. Przybyła mi natychmiast w postaci starego Wencla, maszynisty przy tartaku i przy jego pomocy przyprowadziłem opornego towarzysza do domu. Po zamknięciu ptaka w przedpokoju, gdzie się wcisnął między szafę i ścianę, fiksując złowrogo przypatrujących mu się ciekawie siostrę i brata, opowiedziałem obecnym, do których i matka się przyłączyła, szczegóły bohaterskiego czynu, rozumie się nie bez upiększeń i dodatków, co wzbudziło podziw mego brata a nawet i starszej o wiele, siostry. W ciągu opowiadania przypomniałem sobie, że zostawiłem strzelbę na miejscu walki. Pobiegłem co tchu, lecz wracając natknąłem się na ojca, stojącego na podwórzu!

„A to co?“ krzyknie ojciec, patrząc z góry na moją skruszoną postać.

„Ja, ja...“ nie wiedziałem, co dalej...

„Gadaj mi zaraz, coś robił ze strzelbą, i kto ci pozwolił brać ją do rąk?“

„Nikt nie pozwolił, ale... ja... zabiłem...“

„Coś zabił?“

„Zabiłem... dużego ptaka, który...“ głos uwiązł w gardle, „w kolano mię ukąsił“, wykrztusiłem, spodziewając się ułagodzić tem gniew ojca.

„Pokaż!“

Myśląc, że ojciec każe pokazać ranę od ukąszenia, podciągam spodeńki i pokazuję kolano, na którem w miejscu ukąszenia wystąpiła kropla krwi.

„Ptaka ośle pokaż, nie kolano“, huknie ojciec.

Biegnę do przedpokoju, a za mną podąża ojciec. Nic nie mówiąc, pokazuję palcem za szafę, gdzie ptak w pozycyi obronnej stał nieruchomo.

„Ustrelit' takoweho welikeho ptaka, to dla maleho panicza welika ricz“ dał się słyszeć od progu głos starego Wencla, który z okazyi tak niezwykłego zdarzenia, pozwolił sobie nie wezwany wejść do przedpokoju.

„Czapla siwa“, wymówił ojciec jakby do siebie, półgłosem, otworzył drzwi od pokoju i kazał mi iść za sobą.

Dusza na ramieniu, skóra będzie w robocie, pomyślałem i stanąłem w kornej postawie na środku pokoju. Ojciec usiadł na krześle i zaczęła się indagacya. Musiałem opowiedzieć wszystkie szczegóły wyprawy, mianowicie, gdzie była czapla, czy strzelałem w lot, czy też do siedzącej, jak daleko było i t. p.

Po skończeniu indagacyi, ojciec wyszedł do przedpokoju, oglądnął strzelbę, z której strzelałem a wróciwszy, pogroził mi palcem i rzekł surowo:

„Pamiętaj smarkaczu, że na drugi raz za strzelbę będzie skóra w robocie“.

Pocałowałem ojca w rękę i jak z procy wypadłem z pokoju na podwórze, gdzie młodszy odemnie o trzy lata brat Oleś, niespokojny o mój los, czekał niecierpliwie oparty o ścianę. Pobiegliśmy do ogrodu, gdzie mu opowiedziałem przebieg konferencyi z ojcem, która nam obydwom tyle strachu napędziła.

W godzinę po zdarzeniu siedziałem znowu pod czereśnią, bębniąc odmianę słówka: „jeśm“, która ani rusz nie chciała wleźć do głowy, zapełnionej świeżemi wrażeniami wypadku z czaplą. *Stary Sonntagsjäger.*

Z obcych światów.

Walka z panterą.

(Przez majora R. G. Burton).

Ze wszystkich dzikich zwierząt, w które obfitują Indye, prawdopodobnie najzuchwalszem i najbardziej odważnem jest pantera, czyli lampart*).

Tygrys, nawet choć raniony, przemknie często mimo prześladowcy.

Niedźwiedź robi dużo hałasu i przybiera groźną postawę, lecz rzadko atakuje człowieka.

Wielkie bowidy, bison i bawoł, są wogólności łagodne i nieszkodliwe, a jednak nieraz stali się sportsmeni ofiarą tych rozwścieczonych zwierząt.

Lecz wielki cętkowany kot, choć bojaźliwy i ustępujący, zraniony jednak i osaczony, walczy zaciekle.

Pantery znajdują się w Indyach tak w górach, jak i w nizinach. One odwiedzają głównie zachwaszczone dżungle, pokrywające stoki pagórków i najbliższe otoczenie miast, około których krążą nocą, szukając łupu. Zbłąkane kozy i krowy, a przedewszystkiem psy stanowią ich zwykłą zdobycz. Napadają na odłączone od stada sztuki, zdążające do pastwiska, lub wracające zeń, a nie rzadko unoszą dzieci, pozostawione przez niedbałych rodziców na progu chaty. Przy sposobności pożerają dorosłego człowieka i wtedy stają się plagą całej okolicy, a czasem pada przeszło setka ludzi ofiarą ich krwiożerczych chuci.

W miejscowościach, bardziej odległych, pośród gęstych dżungli, czatują w ciemnej gęstwinie, lub u brzegów leśnych bagien, gdzie chwytają nieszczęsną ofiarę — antylopę, wycinka, lub źrebię; lub pełzają wzdłuż zacienionych strumieni, by ułowić małpę, najsłodszą zwierzynę dla kociego podniebienia.

Różnią się bardzo co do wielkości; wielka sztuka ma nieraz 8 stóp długości, podczas gdy ja ubiłem zupełnie wyrosłą panterę, nie mierzącą sześciu stóp. Jeżeli można się spodziewać lepszych łowów, albo jeżeli tygrysy grasują, myśliwy nie wiele dba o upolowanie pantery; lecz przy ściganiu ich nastręczają się chwile pełne wrażeń i można przy nich doznać wcale poważnego niebezpieczeństwa. W marcu bieżącego roku, w ciągu krótkiej wycieczki łowieckiej, zdążałem ku miejscu, oddalonemu około 120 mil od Hyderabadu, gdzie przed siedmiu laty ubiłem tygrysa, pożerającego ludzi i pięć do sześciu niedźwiedzi, i to w czasie wyprawy, zaledwie trwającej trzy dni.

Dżungla leżała na szeregu pagórków, trzydzieści mil od stacyi kolejowej.

Przybyłem na miejsce wraz z towarzyszem swym, porucznikiem H. J. Wallis, czternastego marca. Rozłożyliśmy się obozem w dużym gaju z drzew mangowych, których owoce jeszcze nie dojrzały do tego stopnia, by ściągały niedźwiedzie, które w wielkiej liczbie przebywały na sąsiednich wzgórzach. Jakkolwiek widoki myśliwskie zapowiadały się wcale pomyślnie, ja powstrzymywałem się od rozpoczęcia łowów dla braku shikarego, gdyż poprzedniego, którego przed 2 laty używałem, zabiła pantera. W nocy, poprzedzającej nasze przybycie, ubiła pantera źrebię, tuż przed wsią. Rankiem znaleziono resztki źrebięcia a nad niemi schyloną klacz. Ścigałem wprawdzie sprawcę mordu aż do wzgórz, lecz straciłem ślad na kamienistym gruncie. Doniesiono nam o zjawieniu się tygrysów i rzeczywiście 16. marca odkryłem trop tygrysa i tygrysicy, lecz nie udało mi się ich osaczyć, a mioty, przedsięwzięte w dżungli, wypłoszyły tylko kilka sztuk zwierzyny płowej, które przedarły się przez nagonkę.

Niedźwiedzi było dość, lecz nie sprzyjało nam szczęście, gdyż tylko z daleka dojrzałem czarnego misia, przesadzającego w skoku szczyt pagórka.

Dwie mile od obozowiska stał samotnie wśród puszczy mały szałas, zamieszkały przez Banjarasów, indyjskich cyganów.

Tuż obok szałasu znalazłem tropy dużej pantery, która piła ze strumienia, płynącego blisko wsi i widocznie obrała legowisko w gęsto zalesionej dolinie, otoczonej wysokiemi wzgórzami. Nazajutrz ubiła ta pantera dużego bawołu, którego poprzedniego wieczora spętałem, pozostawiając go na łup temu, lub innemu drapieżcy. Ubicie zaszło w miejscu, niezbyt odległem od doliny, gdzie ślady pantery były całkiem widoczne na ścieżce, prowadzącej przez dżunglę i na miękkiej ziemi, dokoła ścierwiska. Ubicie miało miejsce widocznie niedawno, gdyż rany były świeże. Charakterystycznem było, że pantera zżarła ogon zdobyczy i nadjadła biodra. Zazwyczaj zaczyna pantera ucztę od wnętrzności, tygrys zaś stale od biodra, wskutek czego sądziłem przez chwilę, że sprawcą mordu był któryś z większych felidów, lecz ścisłe zbadanie otaczającego terenu nie odkryło żadnych więcej śladów, prócz śladów małego, cętkowanego zwierza. Banjarasi już się zgromadzili i tak

*) Lampart (Felis pardus) i pantera (Felis panthera) są rodzonymi braćmi, ale nie jednem i temsamem zwierzęciem.

Pantera jest większą od lamparta i różni się od niego jasnożółtem futrem i żywszym kolorem czarnych cętek. Lampart natomiast mniejszy, ma futro daleko gęściej cętkami zasiane, przezco wygląda znacznie ciemniejszym od pantery. *Red.*

nagonka była zorganizowaną. Mój towarzysz zajął miejsce, skąd okiem obejmował strumyk, ku któremu prawdopodobnie skierowałby się goniony zwierz.

Ja zająłem stanowisko nieco dalej na wypadek, gdyby zwierz chciał przedrzeć się skrzydłem. Obława zaczęła się a naganiacze szli naprzód pośród głośnych wrzasków i odgłosu bębnów i tamtamów.

Przez pewien czas dały się widzieć tylko pawie, które przeleciały z rozpostartemi skrzydłami — ciągnąc za sobą długie ogony, na których słońce grało złoto-zielonem światłem. Nagle pantera ukazała się na zielonej kępce w środku strumyka, gdzie zatrzymała się chwilę, nadsłuchując. Mój przyjaciel strzelił a zwierz, otrzymawszy kulę w komorę, znikł w dżungli przed nami.

Zeszliśmy szybko ze swych stanowisk i pilnie szukaliśmy na gruncie krwawych śladów.

Z początku nie spostrzegliśmy nic, lecz wkrótce podjąłem listek, splamiony spienioną farbą. Mieliśmy ze sobą dwóch szeików, którzy nieśli nasze lekkie strzelby, podczas gdy my sami byliśmy uzbrojeni w strzelby o ciągnionych lufach. Zamierzałem poczekać trochę z poszukiwaniem tropów, by zwierz tymczasem mógł zginąć, względnie by rany jego skrzepły, a tymczasem szukałem dalszych śladów farby, by módz oznaczyć kierunek, w którym zwierz uszedł. Ze mną był szeik, Gopal Singh, podczas gdy mój przyjaciel był wraz z drugim szeikiem nieco dalej. Nagle usłyszeliśmy ochrypłe wycie, a pantera z wściekłym rykiem wypadła z legowiska wśród strumienia, nie dalej jak 10 jardów odemnie. Naprzód rzuciła się na szeika, który był odemnie o kilka kroków na lewo, lecz gdy podniosłem strzelbę, by się z niej złożyć, jej iskrzące oko podchwyciło ten ruch i zwróciła się ku mnie. Śmierć zwiastowały mi jej palące oczy, i zaledwie zdołałem dać dwa strzały, oczy te wraz z właścicielką były już przy mnie.

Chwyciła mnie za lewe przedramię; uczułem jakiś zgniły oddech a rzucony gwałtownie o ziemię, straciłem na chwilę przytomność. Gdy przyszedłem do siebie, po detonacyi strzelb zmieszanej z wyciem, ujrzałem zwierza w odległości pięć jardów odemnie. Przystanął jeszcze na chwilę i rozglądnął się w około, jak gdyby chciał napaść oczy zbrodniczym czynem, przez się dokonanym i przez tę chwilę, która mi się wiekiem wydała, myślałem, że wróci, by mię drzeć w kawały.

Pomknął jednak napowrót do legowiska a mnie pomógł powstać mój wierny szeik i uprowadzał mię jak najspieszniej, bym mógł być jak najdalej od krwiożerczej bestyi, która tak się odważnie zemściła. Teraz należało przyjrzeć się ranom, na co dotychczas nie miałem czasu.

Miałem zaledwie jakieś niejasne pojęcie o tem, że w ogóle byłem zraniony. Spojrzałem na lewe ramię, zwisające bez czucia ku biodru. Całe lewe biodro było skrwawione, a spływająca krew tworzyła kałuże w prochu. Gdyby pantera chciała obecnie iść za mną po moich śladach, nie miałaby żadnej trudności w oryentowaniu się. W lewem ramieniu, poniżej łokcia, była wielka dziura, z której płynęła krew. Wydarty znaczny kawał ciała odsłonił wszystkie muskuły. Rana była otwarta a upływ krwi swobodny, znaki przemawiające więcej przeciw zatruciu krwi, niż za niem. Obnażyliśmy lewą nogę i znaleźliśmy ślady pięciu pazurów w łydce, a trzy otwory w biodrze, sprawione kłami zwierza. Na szczęście tylko dwa niższe kły weszły głęboko, gdyż dwa wyższe były starte wskutek wieku i zużyte. To były najpoważniejsze rany, gdyż zdradliwy jad z ukąszenia mięsożernych zwierząt, który właśnie ukąszenia te czyni tak niebezpiecznemi, jeżeli wejdzie głęboko w ciało, ma wszelkie szanse pozostania tamże.

Gdy zwierz mię napadł, Gopal Singh wypalił mu w głowę, następnie obrócił strzelbę i nie zwracając zupełnie uwagi na własne niebezpieczeństwo, walił zwierza kolbą po łbie, tak, że kolba rozstrzaskała się w kawałki; mój przyjaciel zaś, będący za mną, dał tymczasem do bestyi dwa strzały. Ataki te bezwątpienia zmusiły bestyę do odwrotu, nim mogła mi zadać poważniejsze ciosy. Gdy mi przyjaciel opatrzył rany, chciał iść za panterą, by z nią skończyć, lecz ja byłem tego zdania, że na ten dzień, jeden zraniony człowiek wystarcza zupełnie, toteż zatrzymałem go przy sobie.

Nazajutrz rano znaleziono panterę nieżywą tuż przy miejscu spotkania, gdzie podziurawiona strzałami, wyzionęła ducha. Była to stara samica z czterema niedonoszonemi młodemi. Egzemplarz był bardzo duży, większy niż którykolwiek z widzianych, lub zastrzelonych przezemnie żeńskich okazów. Skóra była nieco nadpsuta, gdyż nocą wyjadły jej wnętrzności hyeny, czy też szakale. Zaniesiono mię do obozu, gdzie miejscowy raja przygotował już „palankin“ (lektykę). Obmyto mi rany, posypano je sproszkowanym kwasem boraksowym — jedynym antiseptykiem, będącym pod ręką — i ruszyliśmy ku stacyi kolejowej, odległej o 30 mil, abym jak najspieszniej doznał lekarskiej pomocy.

Nie zapomnę nigdy tej strasznej podróży, po nierównej, pełnej prochu drodze, która trwała 14 godzin, przez całą noc.

Drogę tę oświecali ludzie z pochodniami, idąc od wsi do wsi. Jeszcze teraz dzwoni w mych uszach monotonny śpiew przez całą drogę niosących lektykę. Dniało, gdyśmy przybyli na stacyę i tylko po to, by się dowiedzieć, że ostatni pociąg do Hyderabadu odszedł przed dwoma godzinami i że najbliższy odejdzie dopiero o godzinie siódmej wieczorem. Szczęściem napotkaliśmy na drodze stacyę lekarską, gdzie mój przyjaciel zastrzyknął mi rany roztworem kwasu karbolowego. Lecz ja opadłem z sił a gorączka dochodziła 102 stopni.

Na stacyi jednak zastaliśmy prawdziwego Samarytanina, który postarał się o żywność i lekarską pomoc, podczas gdy inni przybyli szybko na lorach z odległej o dwadzieścia mil stacyi Judur ze środkami przeciwzakaźnymi i innymi, nieodzownymi w takich okolicznościach. Zatelegrafowano po umyślny pociąg, a dzięki sprężystości władz kolejowych, przybył tenże wraz z chirurgiem i jego sztabem już o czwartej godzinie popołudniu, w 24 godzin po czasie, w którym otrzymałem rany. Przeleżałem cały dzień w kasie biletowej, gdyż na stacyi poczekalni nie było. Wskutek tego rany me się rozjątrzyły i nie mogłem ani siedzieć, ani stać. Poniesiono mię do wagonu i transportowano 120 mil do Bolarum, zimowej kwatery wojskowej, gdzie dobrzy i gościnni przyjaciele przygotowali już wszystko na me przyjęcie. Leżałem cztery tygodnie w łóżku, a w ciągu następnej podróży do domu przyszedłem do zdrowia. Szczęściem, nerwy me nie ucierpiały i obecnie jestem gotów i pełen ochoty udać się do moich ukochanych dżungli, by ścigać zwierzynę.

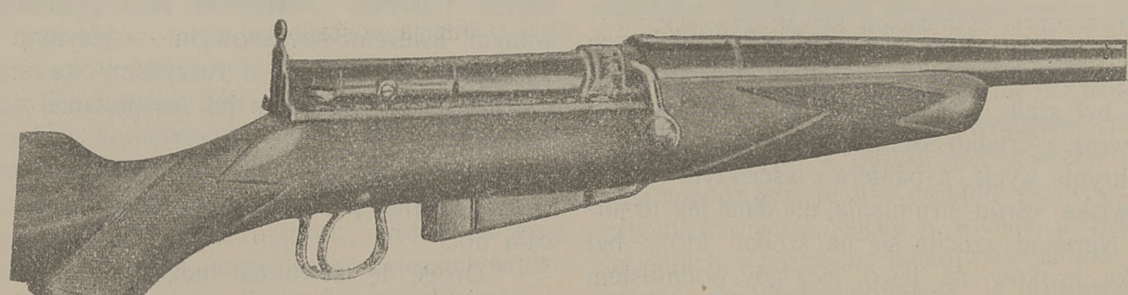
A jednak życie zawdzięczam tylko rycerskości dzielnego szeika, Gopala Singha i troskliwej opiece wiernego przyjaciela, który opatrywał me rany i jechał obok lektyki przez długie godziny owej strasznej nocy.

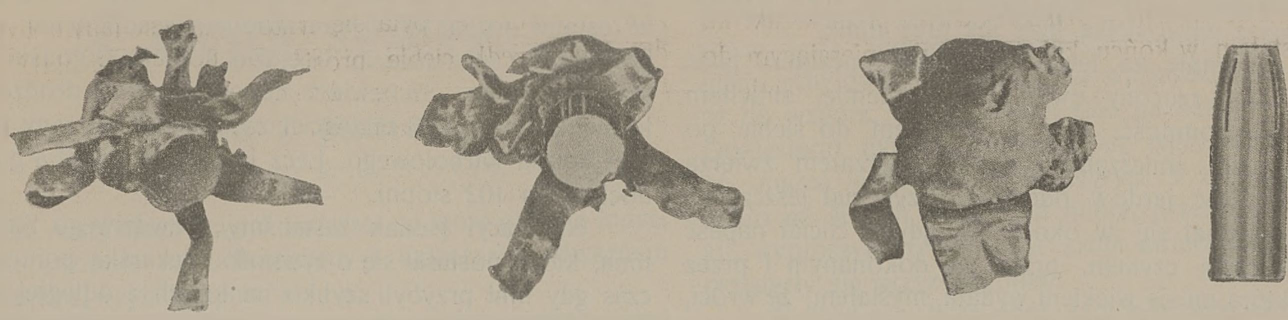
Sztuciec „Certus“.

W dziedzinie wynalazków broni myśliwskich, mamy do zanotowania fakt nowy:

Angielscy rusznikarze Cogswell i Harrisson zbudowali 3 strzałowy, repetierowy sztuciec kalibru 375, 450 lub 500 expressa. Pocisk używa się doń ołowiany z ściętym stożkiem, pokryty całym płaszczem niklowym, w przedniej swej części z 4 stron nadkrojony. Kaliber 375 wymaga 2·58 gm. bezdymnego prochu i daje pociskowi ważącemu 17½ gm. 625 metrów początkowej chyżości. Najwięcej używany Kal. 450 wymaga 3·88 gm. bezdymnego prochu i daje pociskowi, ważącemu 23 gm. 670 metrów chyżości początkowej, wreszcie Kaliber 500 wymaga 5·17 gm. bezdymnego prochu i daje pociskowi, ważącemu 31 gm. 670 początkowej chyżości. Broń waży, stosownie do kalibru, między 3½ a 4 klg.

Podaję poniżej podobiznę tego sztućca, nazwanego „Certus“ i fotografie naturalnej wielkości pocisków przed strzałem, jak i po strzale:





Jestto, jak widzimy, broń większego kalibru, skonstruowana na zasadach i prawidłach broni małokalibrowej. Celem jej jest wyrugowanie wielkokalibrowych expressów i sztućców (Cal. 10 i 8) w polowaniach na wielkie zwierzęta, w tropikalnych krajach żyjące. Sztućce te użyte dopiero w tym roku po raz pierwszy na wyprawach myśliwskich angielskich panów w Afryce, dały dodatnie bardzo rezultaty. Słonie, nosorożce i hippopotamy padały zwykle w ogniu a nigdy nie były zdolne, trafione rzucić się na prześladowcę.

Czy ta broń nie mogłaby mieć u nas zastosowania, w polowaniach na nasze karpackie olbrzymy — rzecz godna może zastanowienia. *Albert Mniszek.*

FATALNOŚĆ.

Zdarzenie prawdziwe.

Opowiedział *„Stary Sonntagsjäger“.*

Było to w ostatnich dniach września r. 1870. Polowaliśmy z „gończymi“ na zające i lisy na zboczach, ciągnących się ponad Borysław i Banię Kotowską ku Popielom.

Żal serdeczny odzywa się w piersiach na samo wspomnienie owych pięknych chwil, kiedy to człowiek rzuciwszy codzienne zajęcie, ze strzelbą na ramieniu i wiernym towarzyszem psem, przebiegał lesiste stoki Karpat, na przestrzeni od Tustanowic do Nahujowic!!! A ładna to przestrzeń: 12000 morgów!!!

Przeważna część dzisiejszych myśliwych chyba z opowiadania zna najpiękniejszy ze wszystkich sposobów polowania, polowanie z „gończymi“. Szkoda, że ten sposób polowania dziś już prawie wyszedł z używania. Ale bo też dziś z każdym rokiem mniej myśliwych a więcej strzelców — a do polowania z gończymi nie wystarcza być strzelcem, to jest umieć prosto nastawić lufę, ale trzeba być myśliwym!!! A i to nie wystarcza, jeżeli się nie ma dobrych psów. Dawniej każdy prawie szlachcic na jednej wiosce i kawałku lasu miał swoją psiarnię, dziś — posucha, myszy, grad, wylewy rzek, raty bankowe i towarzystwa, kasyno narodowe, Ostenda, Riviera, Piccola i t. d. nie pozwalają na to. Poluje się więc z „nagonką“ czyli, jak niektórzy piszą z „naganką“. Ale to rzemiosło, nie sztuka.

Polowaliśmy tedy na zające i lisy, posuwając się w kierunku od Borysławia ku Popielom. Kiedy około godziny pół do piątej po południu zrównaliśmy się z Banią kotowską, doszedł nas z odległości około 100 kroków od grubego lasu, pod którym staliśmy, głos śpiewaka gruby, urywany... do którego po chwili przyłączyły się głosy Wisły i Zagraja. Z miejsca, na którem staliśmy, wzrok panował nad całą szerokością zboczy, od grubego lasu aż do pierwszych chałup Bani Kotowskiej. Głosy psów zwolna się oddalały w kierunku pól tejże wsi, a wtem doszedł nas z dołu odgłos strzału. Wytężyliśmy wzrok w kierunku

strzału i oto po chwilce przedstawił się oczom naszym taki widok: z krzaków wysuwa się na pole ogromny dzik a za nim wszystkie trzy psy i walą przez pole na przełaj ku ogrodom, rozciągającym się tuż pod chatami. Za tą kawalkatą, w oddaleniu około 100 kroków, sadzi wyciągniętym kłusem leśny Iwan, nawołując ogromnym głosem psy do odwrotu. Nie długo jednak cieszyliśmy się tem widowiskiem, gdyż dzik wpadł w najbliższą kukurydzę i znikł w niej razem z psami a Iwan został sam.

Puściliśmy się przez krzaki na oślep, sadząc krokami olbrzymów a dotarłszy do kukurydzy, w której znikły psy z dzikiem, przystanęliśmy, ażeby odsapnąć i rozpatrzyć się w sytuacyi a głównie ażeby odnaleźć Iwana.

Nie długo czekaliśmy, gdyż po kilku minutach wysunął się ze sadu, przypierającego do owej kukurydzy o jakie 50 kroków od nas, dając nam tajemnicze znaki i wzywając do siebie. Za nim wysunął się chłop, trzymający psy na sforach.

Zbliżyliśmy się do Iwana i dowiedzieliśmy się od niego, że udało mu się dobiedz dzika w krzakach i strzelić z odległości 20 kroków, że jest to ogromna maciora i że mocno farbuje; wsunęła się w kukurydzę, wyszła z niej, przebiegła ścierń i weszła w kukurydzę między płotem a debrą o jakie 200 kroków od nas, nie wyszła z niej i musi być w dolnym końcu zagonu.

Wysłuchawszy raportu Iwana, ojciec, który był komendantem polowania, jako jego właściciel, kazał nam, to jest mnie, starszemu bratu Gustawowi i stryjowi Mikołajowi obstąpić z trzech stron kukurydzę a Iwanowi z czwartej strony, ode wsi, puścić w nią psy, sam zaś dla pewności stanął na brzegu debry, skąd miał widok na przyszłe pole walki, zamykając zarazem dzikowi odwrót przez krzaki ku lasowi. Ja stałem w końcu kukurydzy, przypierającym do wylotu debry. Zaledwie miałem czas do zdjęcia z ramienia strzelby, gdy wtem straszny szum i trzask łamanych łodyg kukurydzy przestrzegł mię o zbliżaniu się dzika. Wypadł mi na połeć, palę w samą komorę z odległości nie większej, jak 10 kroków, lecz zajęczak nie wiele musiał zrobić szkody, bo dzik w susach poszedł wąwozem w górę wprost na ojca, stojącego za krzakiem leszczyny. Strzał jeden i drugi i w mgnieniu oka dzik pod mojemi nogami... strzelam, nie celując prawie z pod pachy, poczem dzik omijając kukurydzę, która go tak nie gościnnie przyjęła, defiluje wzdłuż zagona wprost na Gustawa, oczekującego nieprzyjaciela ze strzelbą przy twarzy... huk! dzik wali się na przednie nogi, lecz jak błyskawica zrywa się i buch w kukurydzę, wyskakuje drugą stroną, lecz tu dwa strzały stryja kładą kres nędznemu jego życiu. Zziajani puszczamy się ścieżyną pomiędzy ogrody ku wsi, ażeby odetchnąć i napić się wody. Wchodzimy do wsi, gdzie wcale niezwykły widok uderza nasze oczy. Oto kilkadziesiąt osób różnego wieku, bo nawet i dzieci, zaległo ulicę na całej szerokości, chłopi podzieleni na grupki, rozprawiają głośno, gestykulując i pokazując palcami na bróg stojący na podwórzu chaty, do której właśnie dochodziliśmy. Ciekawością zdjęci przystanęliśmy, chcąc się o przyczynie zbiegowiska dowiedzieć. Od jednej grupy odłączył się stary, przygarbiony chłop, który pozdrowiwszy nas, opowiedział następującą historyę:

Moja stara poszła w pole nakopać bulby na wieczerzę, a ja usiadł sobie na przyzbie i zapalił lulkę. Siedział tak i dumał... Oj! bo jest o czem dumać... Przychodziły żydy onegdaj do mnie, żeby im sprzedać debrę; na co im może być debra potrzebna? Ta to ani drzewa, ani trawy, ot! gadzina, ta karapata się czasem chowa... Nie ma i ćwierć morga, a oni dawali 300 remskich, ta to majątek... pomyślał: to jakaś nie czysta sprawa, i nie sprzedał. Zresztą ojciec i dziad nie sprzedał, to i ja nie sprzedam. Mówi kum: tam będzie kipiączka, a niech sobie będzie, to syn ta wnuk ją znajdzie... A mnie na co?... Kiedym tak dumał, słyszę za płotem jakiś szelest... oglądam się, bom myślał, że sąsiada świnia lezie do ogrodu... a tu pek! dyk jak stricha wali przez płot prosto na obejście, zobaczył mię — fuknął — błysnął czerwonymi ślepami i jak strzała — smyk... pod bróg. Aha, ty mij, pomyślałem, i z pospiechem, na jaki stare kości pozwalają, poskoczył do chaty po siekierę, żeby bróg spuścić. Ten Jać, to nie będzie z niego dobry gospodarz, taki rozsijany, że żadnej rzeczy na swoje miejsce nie położy. Tak i siekierę zapchał pod skrzynię a nie położył pod półkę, gdzie zawsze leży. Szukał za siekierą, ale znalazł... wyszedł na podwórze, obszedł bróg, żeby świnia nie widziała, bo na trzech obrożynach był spuszczony, tylko na czwartej podniesiony, przysunął się do strzechy, podniósł siekierę w górę... i buch! świnia w worku!!!...

Teraz ja posłał zwołać sąsiadów, żeby pomogli dzika zabić i wyciągnąć, bo jeden albo i dwóch a nawet i trzech ludzi nie da rady. Zbiegło się narodu, jak mrowia, aż z dolnego końca przyszli... Każdy wziął ze sobą, co miał pod ręką. Jeden siekierę, drugi motykę, gdzie jaki lusznię, ta orczyk, a Łukasz, co to był za kucharza za nieboszczyka hrabiego, świeć Panie nad jego duszą, przybiegł ze strzelbą, którą na pamiątkę po hrabim dostał. Toto był pan z panów, nieboszczyk hrabia!... Nie żałował ludziom niczego, ni drzewa z lasu, ni grzybów, ni malin ta afin... chodził każdy i zbierał. Bywało na przednowku, to i chleba da a zapłaty nie weźmie, pyta się tylko: „A jak jabym był głodny i przyszedł ciebie prosić, czy byś mi nie dał?" Zebrali my się tedy na podwórzu i rada w radę — uradzili, ażeby ci, co mają żelazne widły stanęli przy brogu w pierwszym szeregu, w dalszym ci, co mają siekiery a na ostatku reszta. Ale że to u chłopa nigdy nie ma jedności i zgody, wystąpił Wasyl i w długiej przemowie wyłuszczył, że jestto rzecz tak poważna i niezwykła, że bez wódki prawie żaden nie odważy się walczyć z dzikiem i to w dodatku takim dużym. Mowa ta znalazła posłuch u zebranych i zażądano wódki. Posłałem tedy do karczmy po garniec wódki, którą wypiwszy ruszyliśmy do ataku. Najodważniejszy Hryć podłożył drąg pod róg brogu, stęknął i podniósł go o tyle, żeby zajrzeć, w którem miejscu dzik siedzi... zaglądnięcia podjął się Dmytro kominiarz... położył się na ziemi i wetknął głowę w otwór; „Nic nie widzę", zawołał, ciemno, podnieście wyżej! Stęknął ponownie Hryć i uniósł bróg wyżej. „Jeszcze nie widać, podnieście drugi róg, to będzie jaśniej" zawoła znowu Dmytro. Podniesiono drugi róg i z niecierpliwością czekał każdy na raport Dmytra, który kręcąc głową na wszystkie strony, rozglądał się pod brogiem, jak gdyby szukał kurczęcia a nie dzika... Naraz podniósł się, splunął i ze złością krzyknie: „Co wy tu z ludzi durniów robicie? Tu nie ma żadnego dzika. Zgłupieliśmy wszyscy, a najbardziej ja sam, bom przecież na własne oczy widział, jak dzik włazil pod bróg!!! Zaczęli więc ludzie jeden po drugim przybliżać się i zaglądać pod bróg, ale żaden nie mógł dojrzeć dzika. Wreszcie podniesiono bróg na wszystkich czterech obrożynach a dzika jak nie było, tak niema. Zaczęły się sypać domysły. Jeden posądzał mię, że zasnąłem na przyzbie i że mi się dzik przyśnił; drugi rzucił podejrzenie na starą Ołeksychę, że czary na mnie rzuciła. Inny znowu twierdził, że to sztuczka nie-

czystego — naj sia procz każe — i że trzeba dać znać księdzu, ażeby obejście poświęcił i t. p. aż dopiero wyrostek, który w sadzie pasł cielę na powrózku, rozjaśnił tajemnicę... Oto widział, jak ja pobiegłem za siekierą do chaty, a dzik tymczasem wysunął się z pod brogu i czmychnął w kukurydzę!!!...

I proszę wielmożnych panów, kto winien, że dzik uciekł jakby z worka, czy nie ten szelma Jać, który siekiery na miejsce nie położył?“ dodał starowina, drapiąc się w głowę.

Pocieszaliśmy go, jak każdy umiał, ojciec zwrócił mu za kupioną wódkę z naddatkiem, za co stary przyrzekł wystarać się o podwodę dla odwiezienia dzika i pożegnaliśmy go, dążąc ku domowi, oddalonemu o jakie 6 kilometrów, unosząc w pamięci zabawne zdarzenie.

Pisałem w Kosowie 10 sierpnia 1904.



Korespondencye.

Otrzymaliśmy następujące pismo z prośbą o umieszczenie w łamach „Łowca:

Szanowna Redakcyo!

W Nrze 15 „Łowca“ p. t. „Aus Podhorodce bei Schodnica Galizien“ krytykuje Szanowna Redakcya postępek podpisanego, że często pisuje do czasopism niemieckich — do wiadomości proszę zatem przyjąć moje usprawiedliwienie, umieszczając je w łamach „Łowca“.

Że pisuję do pism niemieckich, prawdą jest i nie mam powodu tego się wstydzić, że żyję na polskiej i z polskiej ziemi, jest również prawdą, ale daleko gorzej i pod cięższymi warunkami, aniżeli leśnicy z zagranicy, których tu jest znaczny napływ, pomimo że brakuje im ustawą przewidzianych kwalifikacyi a czasem nawet i gruntownie fachowego wykształcenia. Zajmują oni samoistne stanowiska, nie znając tutejszych stosunków, — potrzeb naszego kraju i t. p. i zastosowując zagraniczne praktyki, które z wielu powodów u nas przeprowadzić się nie dadzą, zaprowadzają „Sparrsystemy“ i tym sposobem dają się towarzyszom zielonego fachu daleko więcej we znaki, aniżeli osobnik, który ani ze złej woli, ani z chęci przypodobania się Niemcom napisał artykuł z dziedziny leśnictwa, lub łowiectwa. Mojem zdaniem artykułem takim daje się im do poznania, że kultura u nas nie tak bardzo znów w tyle, jak to oni twierdzą, i u nas są jeszcze lasy nie zupełnie zniszczone, są knieje, których tajniki zna leśnik-myśliwy i nie rzadko napotkać można racyonalne gospodarstwo łowieckie!

Że przeciętny inteligentny leśnik musi umieć po niemiecku, dowodzę tu tem, że do uzupełnienia fachowej wiedzy i dalszego kontynuowania jej mamy prawie tylko podręczniki i czasopisma niemieckie.

Sami wprawdzie winni jesteśmy, że nie piszemy, ale mało jest szczęśliwców, którzy bez wielkich trosk codziennych na posadzie żyją, — a ci są panami i nie odczuwają potrzeby udzielenia swych wiadomości młodszej generacyi i fachowym kolegom, wielu zaś fachowo wykształconych ma „za wiele do śmierci a za mało do życia“ i ci, jak łatwo pojąć, pracując dla utrzymania rodziny, mają myśli zaprzątnięte troskami i nie są w stanie podjąć się pracy choćby przetłómaczenia, lub przerobienia jakiegoś fachowego dzieła.

Że łamy „Łowca“ łaskawe będą na przyjęcie kilku wierszy, napisanych przez nie należącego do Towarzystwa łowieckiego, nie wiedziałem, i pisywałem do czasopism niemieckich. Może tam czasem pomiędzy wierszami i słowa skargi na nasze stosunki wyczytać można było, — ale jeżeli Szan. Redakcya tak na mnie łaskawą, pozwolę sobie streścić, jak bezwzględnie polowania u nas traktowane bywają i co ma do zwalczenia leśnik-myśliwy, z kłusownictwem, które u nas w porównaniu z kłusownictwem n. p. czeskiem, niby żadnych trudności nie ma przedstawiać.

Piszę „leśnik-myśliwy“ bo nie wystawiam sobie leśnika nie myśliwego, i chętniej widziałbym takiego pana na katedrze wykładowej, urzędnikiem biurowym, geometrą albo agronomem.

Będąc na posadzie starszego leśniczego w zachodniej Galicyi, w lesie o obszarze 4000 morgów mojemu zarządowi powierzonym, leżącym w jednym kompleksie, ($^3/_4$ młodników, 10—35 letnich, gęste podszycia) otoczonym żyznemi polami, zastałem tak opłakany stan zwierzostanu, jak to sobie tylko wystawić można. Po zbadaniu przyczyn okazało się, że polowania naokoło lasu dzierżawią gospodarze a w sąsiednim lasku o 1600 morgach gospodaruje leśny, który po oddaleniu leśniczego został sam mianowany leśniczym, a dodano mu tylko drugiego leśnego.

Całe niedziele i święta polowano i nie rzadko znajdowała straż moja śrótami strzelane sarny w czasie ochronnym; robiłem co mogłem, ale przecież dzierżawca polowania ma swoje prawa, w które nikt mu wkraczać nie śmie.

Było to jakoś w zimie, znużony dzienną pracą zasnąłem twardo, ale w nocy zbudził mnie odgłos kilkunastu strzałów. Zerwałem się na równe nogi, odnosząc wrażenie, że mi do okien strzelano. Nie tracąc czasu, bez zaświecenia świecy — noc była jasna jak dzień — ubrałem się na prędce w pilśniowe buty i kożuszek i wziąwszy cztery patrony do kieszeni i strzelbę do ręki, wybiegłem na dwór.

Leśnictwo leżało tuż przy lesie, po pod kraj którego wiodła droga gminna. Podbiegłszy na kraj lasu, zobaczyłem na tej drodze całe towarzystwo, to też schroniwszy się za drzewem czekałem, aż nadejdą ku mnie.

Towarzystwo to składało się z dwudziestukilku myśliwych z strzelbami różnej długości, którzy idąc koło mnie omawiali miot następny, po skończeniu pierwszego za płotem leśnictwa. Polował dzierżawca polowania S. ze swoimi wspólnikami i gośćmi, pomiędzy którymi był i kancelista sądowy. Podążyłem za nimi, budząc po drodze leśnego, którego byłem pewny, i oczywiście natrafiłem na myśliwych, stojących już na stanowiskach.

Nim leśny nadbiegł za mną, wywiązała się pomiędzy mną a dzierżawcą polowania dość ostra rozmowa, kończąca się jego twierdzeniem, że on jako dzierżawca ma prawo polować, kiedy mu się podoba, i nikogo to nic nie obchodzi, czy on w nocy jest w stanie rozpoznać rogacza, a że zwierzyna wychodząca w nocy na pola, postrzelona marnieje, to już jego rzecz i skarb może sobie również urządzić polowanie przy świetle księżyca i t. p.

Na podobne argumenta nie miałem na razie odpowiedzi, a na pytanie co mnie właściwie powoduje, prze-

szkadzać mu w polowaniu, zażądałem, by pp. myśliwi stawali przed, nie za rowem.

Dla zaalarmowania leśnego, mieszkającego niedaleko, i dla ewentualnego odpędzenia od lasu zwierzyny, — po skończonej rozmowie i już po nadejściu leśnego, wystrzeliłem do góry.

Myśliwi po zepsutym miocie, miotając przekleństwa i groźby, opuścili następne mioty, leżące tuż pod lasem.

Doniosłem o tem c. k. Starostwu, skutkiem czego skonfiskowano 2 strzelby, ja zaś dostałem akt oskarzenia, że strzelałem do myśliwych, i gdyby nie przysięga mojego Józefa, że strzelałem do góry na „alarm“ i świetna obrona notaryusza p. R., byłbym został zasądzonym.

Złapałem tam również kłusownika, który mi zwierzynę w jednym i tym samym oddziale ciągle niepokoił i pomimo zasiadek, nie mogliśmy go złapać, dochodząc natomiast często postrzelonej zwierzyny. Cóż ten łotr robił? Oto przy przesmyku sarnim, zaraz po strzale pozostawiał zwierzynę opatrzności, sam zaś wyłaził na gęsty świerk, siedząc nawet po kika godzin, a strażnik trafiwszy zwierzynę, zadawalał się znalezionem corpus delicti i odchodził.

Zdarzało się pewnie dość często, że strażnik przeszedłszy tamtędy zwierzyny nie znalazł i odszedł dalej, a wtedy kłusownik ten, będąc pewnym siebie, zabierał zwierzynę. Był to spólnik dzierżawcy polowania.

Czyż nie trudniejszy to stosunek, aniżeli w Czechach, gdzie ma się do czynienia z kłusownikiem złodziejem? Dodać tu muszę, że dzierżawca polowania był z a r o b n i k i e m, posiadającym także kilka zagonów pola, a spólnicy strażnikami jego z certyfikatami strażackimi na stemplu 30-stu hal.

Po objęciu drugiej posady starszego leśniczego w górach zastałem tereny dla zwierzyny tak dobre i odpowiednie, jak to sobie tylko wymarzyć można, ale zwierzyny tak mało, że poprostu polowań zaniechano.

Góry, potoki, zręby, pola wśród lasów, liczne polany etc., czyż można mieć lepsze tereny? Do tego okoliczne lasy, wycięte w pień a sąsiedzi polujący ciągle z psami, zganiali zwierzynę do naszych remiz. Tak mi się przynajmniej przedstawiało i niemożebnem wydawało, aby w tak dobrych warunkach nie było zwierzyny w tym naturalnym zwierzyńcu.

Tu znowu kierował poprzednikiem i podręcznymi rządca a leśnicy byli leśnikami, nie leśnikami-myśliwymi, co przyczyniło się trochę do upadku polowania, a w znacznej części tut. kłusownicy i mnóstwo samopas chodzących psów i kotów.

Zaraz pierwszej zimy doniesiono mi z rewiru z „za wody“, że strażnik widział 5 kłusowników z psami na terenie gminnym, wydzierżawionym przez skarb.

Dowiedziawszy się, ktòrzy to byli, doniosłem do c. k. Starostwa, skutkiem czego żandarm, nie mając asystencyi do otwartego wystąpienia, pożyczył strzelby u żony notorycznego kłusownika, pisarza gminnego M. i w ten sposób skonfiskowaną odesłał do c. k. Starostwa. Za 3 dni M. na podstawie karty na broń, którą miał posiadać, otrzymał ją w c. k. Starostwie napowrót i niosąc ją do domu, chwalił się po drodze przed spotkanym leśniczym, że on jest panem sytuacyi!

Rady sobie dać nie mogłem, ale stało się! Nie miałem ani dnia, ani nocy a kłusownictwo tolerował sąsiad niby leśniczy, bo kłusownicy ciągle uciekali na jego terytoryum, gdzie ich dostać nie mogłem. — Zadawalałem się na razie strzelaniem i truciem samopas chodzących psów. Nadeszły święta Wielkiejnocy! wiedziałem, że polować będą a na domiar mego trafnego domysłu, nie widziałem ani jednego kłusownika w cerkwi. To mnie upewniło. Skonsygnowawszy straż na wieczór, sam udałem się popołudniu w niedzielę w 1-szy dzień rz-kat. Wielkanocnych Świąt za rzekę do rewiru, nawiedzanego najczęściej przez kłusowników. Odszukałem w lesie strażnika, który mi powiedział, że psy gonią.

Jakoż za godzinę może słyszymy, jak pieski ściągają w kierunku do nas. Rozskoczyliśmy się i po chwili usłyszałem strzał. Strzelał strażnik do psa, który postrzelonego rogacza ściągał z uboczy, drugi pies uciekł, po chwili jednakowoż wrócił i tego zabiłem z ekspressa, gdy zoczywszy nas, zaczął uciekać.

Rogacz był strzelony śrótem a psy były własnością M. i wójta gminy.

Ten wypadek udowodnił mi aż nadto, że polują ale i oni słyszeli strzały a psów się nie doczekawszy, wnioskować musieli, że straż nie świętuje.

Nie było czasu do stracenia! Wróciłem do domu i zabrawszy straż przebrnęliśmy rzekę — „popławiec-tratewkę“, którą się przewożono w tem miejscu, schowali sobie kłusownicy do powrotu. Tu ustawiłem na brodach po 2 strażników.

O godzinie 9-tej wieczorem nadeszło dwóch na moje stanowisko, ale bez strzelb i pomimo pewności, że to uczestnicy wielkanocnego polowania, nic im zrobić nie mogliśmy, bo usprawiedliwiali się, że idą z sąsiedniej wioski. Strzelby pochowali w lesie.

Po godzinie nadszedł M. Odebrałem mu strzelbę przy pomocy strażnika, z tą samą kartką na kolbie, która żandarmowi przed kilku tygodniami służyła za adres do c. k. Starostwa. Reszty kłusowników nie doczekaliśmy się, wrócili inną drogą. Bojąc się, aby na podstawie posiadania karty na broń przez kłusownika strzelby mu nie oddano, nie odsyłałem jej do c. k. Starostwa, ale doniosłem zaraz o wypadku. Pomimo urgensów, rozprawy nie przeprowadzono, a po 6-ciu miesiącach zaskarżył mnie M., na podstawie przedawnienia, o oddanie strzelby, ewentualnie o zwrot 50 koron i już Sąd był skłonny do zasądzenia mnie na zapłacenie 50 koron, gdyby nie rekurs i przed samym terminem doniesienie c. k. Starostwa do c. k. Sądu, że strzelbę uznaje się za skonfiskowaną, ponieważ do dziś leżała w obszarze dworskim do dyspozycyi c. k. Starostwa, jak moje doniesienie, a obecnie jest już w Starostwie.

Gmina ta posiada własne krzaki i ma swego strażnika, który w tych krzakach pełnił służbę na wynajętem przez skarb dla polowania terytoryum gminnem, i tylko szczęście, że strażnik ten nie był zaprzysięgły, odebrałem mu bowiem strzelbę, doskonałą lefoszówkę, którą, zoczywszy mnie z daleka, schował w kupkę gnoju. Dziś wolno mu nosić, na moją prośbę w c. k. Starostwie, tylko rewolwer i szablę.

W święto Bożego Narodzenia (rz. kat. obrz.) odebrała straż w drugim rewirze strzelbę strażnikowi gminnemu, który pewnie w uczciwych zamiarach pełnienia służby ochronnej w n i e d z i e l ę d o l a s u nie wyszedł, bo zoczywszy strażników począł uciekać i schował się w końcu w wertepach, ale dobrze wyszkolone nosy zwietrzyły go i wzięły.

Po jakimś czasie urządziłem znów w niedzielę obławę na kłusowników. Nocowaliśmy za wodą, rozstawieni na 3 punktach i rzeczywiście byli, ale potokami wymknęli się

na terytoryum sąsiedzkie, gdzie przydybał ich dodnia sąsiad, który przez czas 2 lat nauczył się ze mną i moją strażą rachować. Będąc w towarzystwie gościa, z którym wyszedł na rogacza, wziął 3 strzelby, pozostawiając resztę, t. j. 2, dla stosunku przyjacielskiego w spokoju, t. j. M., pisarza gminnego i syna wójta. Na drugi dzień w tem miejscu znalazł mój strażnik świeżą skórę ze sarny z mlekiem w ssawkach!

Tu już byliśmy na drodze ku lepszemu, c. k. Sąd bowiem skazał ich za usiłowaną kradzież po 1 miesiącu aresztu, a c. k. Starostwo za przestępstwo z §. 33., 38. i 41. ust. łow. każdego na 10 kor. grzywny!

Znalezione również na wiosnę w brogach siana 2 strzelby, skonfiskowano, więc razem przez lat 2 przeszło 10 strzelb i to u takich rafinowanych kłusowników, o których Czesi pojęcia nie mają. Tu walczy się z sąsiadem, walczy się z kłusownikiem, z psami gończymi z za 10-tej granicy i tylko solidarne wspieranie się, pomoc władzy i niezłomna energia może polowanie podnieść.

Dawniej przez lat 8 ubito tu coś 3 dziki, za moich czasów jednej zimy padło 11, na maleńkich polowaniach, a drugiej 13 grubych ale bez psów, z nagonką pomimo jarów i bardzo stromych zboczy, biorąc po dokładnem otropieniu mioty całemi zboczami. Główna tu rzecz obsadzenie przypuszczalnie najlepszych przesmyków, dobre rozstawienie nagonki a wiadomości tych nabierze tylko ten leśnik-myśliwy, który jest obdarzony zmysłem badania tajników kniei i natury zwierzyny. — Jeleń podchodzi, ściągnięty lizawkami i tryzubami, pod same osady, — po polach, gdzie prawie nigdy zająca nie było widać, stawia dziś chłopek strachy w jęczmieniu i kapuście, a administrator folwarku co dzień mi raportuje, że widział 3 lub 4 zające. Mam także kilkanaście stadek kuropatw, ale struto tu i ubito przez 2 lata 38 lisów, przeszło 300 psów i 97 kotów, i że ilość ta na góry jest zastraszającą, każdy to przyzna.

W końcu proszę przyjąć raz jeszcze zapewnienie, że nie miałem najmniejszego zamiaru uszczuplać łamów naszego *„Łowca“* przez napisanie kilku artykułów do niemieckich czasopism i jeżeli Szanowna Redakcya względną będzie, a mnie czas pozwoli, nie omieszkam następnie dać znać o sobie i naszej okolicy.

Nadl. *A. Biberstein-Błoński.*

Powyższą korespondencyę, o ile możliwe nie zmieniając dosłownego tekstu, umieszczamy z przyjemnością, gdyż mamy nadzieję, że nowy nasz członek a autor powyższego artykułu, nie tylko nadal dla naszego łowiectwa pracować będzie, ale też często swemi korespondencyami łowieckiemi z malowniczego Podkarpacia i nas zasilać będzie, za co mu z góry najserdeczniej dziękujemy.

Redakcya.

Doszło nas następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze!

Upraszam uprzejmie o umieszczenie bodaj gdzie w suterenach, lub na poddaszu najbliższego numeru „Łowca“ tych kilku słów, które wywołało parę artykułów, w piśmie waszem umieszczonych.

„But chief of all
„O loss of sight, of thee I most complain!
„Blind among enemies, O worse than chains,
„Dungeon, or beggary, or decrepit age!
„Light, the prime work of God, to mi is extinct“...
(Milton, Samson Agonistes).

Wielki poeta, twórca „Raju utraconego“, opłakując utratę wzroku, wkłada powyżej przywiedzione słowa w usta Samsona, podobnego sobie ślepca!

Poeta utracił wzrok skutkiem nadmiaru pracy, Samsonowi, zdradzonemu przez Dalilę wybodli oczy nieprzyjaciele; efekt w obu wypadkach ten sam, — niemożność widzenia, straszne kalectwo.

Jakiś gorący wielbiciel średniowieczczyzny nawołuje gorąco w „Łowcu“ do wskrzeszenia z kilkuwiekowego snu (bodaj nieprzespanego) łowów sokolich! Nazywa te łowy złotym zabytkiem dawnych czasów!

Otóż przypatrzmy się tej sprawie bliżej ze stanowiska uczuciowo-estetycznego.

Całe miesiące trwające zaprawianie ptaka do łowów, to nieustająca ciemnica. Gdybyśmy mieli scharakteryzować krzywdę wyrządzaną ptakowi wedle prawnego ustroju, mającego zastosowanie do człowieczeństwa, musielibyśmy podać równocześnie gwałt publiczny przez ograniczenie wolności i bardzo, bardzo ciężkie uszkodzenie ciała. Prawda, że w zastosowaniu do ludzi zna kodeks karny ciemnicę, jako obostrzenie kary, lecz tu jest cel poprawy i odstraszenia; zatwardziały zbrodzień otrzymuje ciemnicę w dzień popełnienia ohydnej zbrodni, by mógł rozpamiętywać każdy jej szczegół ze wstrętem, by się kajał.

A ptak!??

Ptak na to, by nam przysporzył pełnego wrażeń sportu!

A jakże zapatrywałoby się na tę sprawę towarzystwo ochrony zwierząt?

Woźnica, który smagnie za silnie batem przeciążonego konia, handlarz drobiu, który popęta nielitośnie wiezione na targ gęsi itd, podlegają karze, więc jakżeż byłby karany dręczyciel sokołów?

Już i dawniej, gdy sport ten uprawiano w Polsce, nie wszyscy zapatrywali się nań ze zbytniem uwielbieniem.

Czacki pisze, że Opaliński, nauczyciel Zygmunta Augusta, wzbronił królewicowi tego sportu, gdyż jest okrutny i z okrucieństwem oswaja.

A dodać potrzeba, że całe okrucieństwo nauki może pójść na marne, bo ptak, jeżeli nie znikczemniał do cna w niewoli, jeżeli wypuszczony przypomni sobie dawną swobodę, to pewnie nie wróci do ręki, a wtedy będzie można sokolnikowi zacytować słowa poety:

Idź myśliwcze do domu,
Z klatką nie czekaj sokoła!

Nie wątpię, że w gronie naszych myśliwych, znajdę niejednego „arbitra elegantiarum“, który zgodzi się z moimi wywodami i poprze je w „Łowcu“, więc krzepiąc się tą nadzieją, kończę moją korespondencyę wezwaniem:

Pozostawmy łowy sokole narodom, które dawniej uprawiały „raubritterstwo“, pozostawmy je narodom, które wykonywały egzekucye na własnych królach; my młynkujmy w ogniu grubego zwierza, polujmy, jak polowano n. p. w Soplicowie, gdzie tego sportu nie znano.

Wanda z nad Dniestru.

KRONIKA.

W ostatniej chwili przed wydaniem niniejszego numeru, doszła nas wiadomość o śmierci Nestora myśliwych polskich, hr. Leopolda Starzeńskiego. W następującym numerze podamy nekrolog zmarłego, tymczasem dla braku czasu ograniczamy się tylko na podaniu tej nader żałobnej wieści naszym czytelnikom.

Jak polują koronowani. Zabawny epizod zdarzył się około r. 1850 u W. Księcia Heskiego, w Ingenheim. Bawił tam jako gość car Aleksander II. i brał udział w wybieraniu lisów z jam.

Gdy z jednej już sześć lisów wykopano, car bardzo uradowany rzekł do gospodarza: „No, dosyć już tego, siódmego nie będzie — i tak sześć z jednej jamy wybrać, to piękny rezultat“. Na to jeden z pobereżników, nisko się kłaniając, zawołał ku ogólnemu zdumieniu i wielkiej konsternacyi gospodarza: „Najjaśniejszy panie! Proszę poczekać, będzie jeszcze jeden tutaj, gdyż dziś rano 7 lisów do tej jamy wpuściliśmy, a nory były tak strzeżone, że uciec żaden nie mógł“.

Śmierć w objęciach lwa. W kraju Somalisów w Afryce, zginął przed kilku miesiącami bardzo tragicznie sławny myśliwy, angielski major Ewing. Pewnego dnia dowiedział się znakomity łowiec, że o 20 mil od jego stacyi lew pożarł człowieka i jego konia. Ewing zorganizował natychmiast wycieczkę dla pomszczenia ofiary. Właśnie z towarzyszącym mu oficerem przez gęste zarośla przechodził, gdy lew niespodzianie przed niego na 20 kroków wyskoczył. Major strzelił a lew ranny jak piorun szybko na niego się rzucił i rozdzierać począł. Oficer klęcząc strzelał do lwa cztery razy i dopiero czwarta kula położyła trupem rozszalałe zwierzę. Niestety było już za późno. Major strasznie pokaleczony, został przeniesiony do namiotu, w którym w 5 godzin po wypadku umarł. Zmarły był jednym z najznakomitszych myśliwych i w łowach na dzikie bestye imponował zawsze niesłychaną odwagą i zimną krwią. Urodzony w Indyach, miał od młodego wieku sposobność nabrania rutyny w tych niebezpiecznych polowaniach, mimo to padł ofiarą swego zawodu.

Sokoły do polowania. Dla jednego z magnatów ukraińskich sprowadzono ze Śląska, z dóbr hr. Donnersmarka parę pięknych sokołów, do polowania ułożonych; ptaki mieściły się w specyalnie urządzonej klatce. W dobrach owych na Śląsku uprawia się sokolnictwo według wszelkich prawideł tego rodzaju myśliwstwa, ostatnimi czasy zupełnie już zaniedbanego. Również w Łańcucie, u JE. Romana Potockiego sokolnictwo wskrzeszonem zostało. Hrabia sprowadził sokoły ze Szkocyi, a z nimi razem przybył i sokolnik, który ma miejscowych ludzi sztuki sokolnictwa nauczyć.

Drobne ogłoszenia.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**